

Gospodyni wstała, zebrała szklanki i talerzyki, cukiernicę i odstawiła to wszystko na bok.

Sięgnęła potem do skórzanej, leżącej na stole papierosnicy i zapaliła papierosa. Usiadła na sofie tuż przy Józii i przez chwilę wpatrywała się w kółka błękitnawego dymu. Pałała z wprawą wytrawnego, namiętnego palacza.

— Pani pali może także?... — zwróciła się do swego gościa.

— O! Nie... nie palę.

— Lepiej. Głupie przyzwyczajenie, a w obecnych czasach to nawet mocno kłopotliwe i kosztowne... Ale moje nerwy tak już przywykły do papierosa, że ani rusz... To jak nałogowemu pijakowi bez wódki...

Zgniotła wypalonego papierosa w popielniczkę, założyła nogę na nogę i objawszy kolana rękami, obróciła się ku Józii.

— Więc, jak powiedziałam, podobają mi się pani... Wtedy na stacyi, kiedy zobaczyłam panią po raz pierwszy...

— Pani także odprowadzała kogoś bliskiego?

— Nie, nie odprowadzałam nikogo. Poszłam poprostu przez ciekawość... Chciałam wiedzieć, jak też wygląda młoda pani Żarnicka, o której słyszałam już to i owo.

— Aha! — przemknęło Józii przez głowę. — Więc jednak...

Larchówna, jakby odgadując tę myśl, wyjaśniła:

— Niech pani tylko fałszywych wniosków nie wyciąga, bo w tej mojej ciekawości nie było nic więcej, jak tylko ciekawość... Nic z tego, co Niemiec nazywa „Hintergedanke"... I gdyby mnie pani specjalnie nie zainteresowała, to napewno nie starałabym się zapoznać... Chyba pani czuje, że mówię prawdę...

— Tak...

— Ale pani mnie wzięła... No, wzięła mnie pani... Tak odrazu, od pierwszego wejrzenia... Patrzę, a tu takie dziecko śliczne, miłutkie, taka urocza, słodka dziewczynka... I te oczy, niby figlarne, a przecież trochę melancholijne...

— Proszę pani...

— Komplementów nie potrzebuję pani mówić, bo się ich pani z pewnością aż do znudzenia od mężczyzn nasłuchała... Natomiast otwarcie powiem, że sama nie umiem wytłumaczyć sobie tej mojej dla pani sympatii... Bo tak naogół, to wcale nie lubię tego typu kobiet, do jakiego pani, zdaje się, należy...

— A do jakiego typu ja należę? — rzuciła nagle z zupełnie szczera ciekawością Józia.

— Właśnie do takiego, który sobie nie zdaje z tego sprawy, jakim jest...

— Nie rozumiem...

— Nie szkodzi. Pani prawdopodobnie wielu rzeczy nie rozumie, ale pani z tem do twarzy... Józia poczuła się lekko dotkniętą.

— Pani mnie uważa widocznie za bardzo głupią...

— Nie za głupią, tylko za taką, która bardzo mało rozumie... Pierwszy popęd uczucia, czy temperamentu, to grunt u pani...

— Słusznie pani mówi — przyznała Józia po chwili namysłu. — Taka rzeczywiście jestem, chociaż chciałabym się zmienić...

— Zmienić się?... Po co?...

Pod wpływem ciepłego prądu szczerości i sympatii, jaki szedł od tej oryginalnej, czarnoookiej dziewczyny, Józia rozłajała szybko i wyzbyła się swojej chwilowej nieufności.

Chętnie i żywo, z wrodzoną swoją gadatliwością, odpowiadała na pytania Larchówny. Opowiadała jej o Krakowie, o Pradze, o Anielce Walczakowej, trochę o swoim pobycie u ciotki.

Niewiele wprawdzie mówiła o swych stosunkach rodzinnych, a jeszcze mniej o Konradzie, jednak i to, co powiedziała, wystarczało, aby tamta — starsza i bardziej przenikliwa — mogła się domyśleć wielu rzeczy...

Larchówna nawzajem kreśliła stosunki, panujące w Łykowie, ze zwykłym sobie, trochę rubasznym, a trochę zgryźliwym dowcipem, charakteryzowała niektóre, znane Józii tylko z widzenia, damy z łykowskiego „towarzystwa”...

Zaczynało się już ściemniać. Pośród ożywionej rozmowy czas mijał szybko. Józia nie zapominała jednak o głównym celu swoich odwiedzin i już od chwili zastanawiała się, jak to ma właściwie powiedzieć Larchównie, od czego zacząć.

Tamta niespodzianie przyszła jej sama z pomocą. Przerwawszy sobie opowiadanie o prezesowej Kasztalińskiej i jej „dobroczyńnej” świcie, zapytała nagle:

— Proszę pani, coś mi się tak wszystko zdaje, że pani tu nie bez kozery dzisiaj zajrzała do mnie... Ma pani jakiś interes? Cóż, myślę się, czy nie?... —

— Nie, nie myli się pani. Ja rzeczywiście chciałam panią o coś zapytać...

— I dotychczas pani tego nie wypowiedziała? Ejże! Chyba się pani zaraziła od mamy Żarnickiej chińskimi ceremoniami i nieszczerością...

— Pani może będzie zdziwiona... Ale ja tutaj mam tak mało znajomych, a nikogo z życliwych... Nie wiedziałam, doprawdy, do kogo się zwrócić...

— I mnie pani wybrała. To mnie bardzo cieszy, ale proszę skrócić te niepotrzebne wstępy i omówienia... Prosto z mostu!... O co chodzi?... —

Józia rada była, że w pokoju jest już mrocznie, więc Larchówna nie może widzieć dokładnie jej twarzy.

— Widzi pani, jabym chciała sprzedać...

Urwała, jakby jej tchu zabrakło.

— Sprzedać? Co takiego?... —

— Broszkę złotą, a nie wiem, kto by kupił — ciągnęła Józia dalej, śmiejąc już nieco — myślałam, że mi pani może doradzić...

Larchówna przysunęła się do niej bliżej i wzięła ją za rękę.

— Pani chce sprzedać swoją broszkę? Dlaczego?... —

— Bo mi bardzo potrzeba pieniędzy... — wyznała cichutko Józia.

— Na jakiś wielki, nadprogramowy wydatek?... Może na jakąś niespodziankę dla męża? — badała dalej Larchówna.

— Nie... Tylko tak, na drobne wydatki...

— I pani na to nie ma?... —

— Nie mam.

— Taak?... — wyrzekła przeciągle Larchówna i mocniej ścisnęła rękę Józii.

Młodej kobiecie dopiero teraz przyszło na myśl, że kompromituje męża. I dość niezręcznie zaczęła go usprawiedliwiać.

— Konrad myślał, że ja mam dosyć pieniędzy... Nie wiedział i dlatego...

— Ach! On nic nie myślał!... — rzuciła opryskliwie Larchówna i powstrzymała się, by nie dokończyć z brutalną szczerością: już ja go dobrze znam!...

— Mniejsza z tem, co mąż pani myślał, a czego nie wiedział... Faktem jest, że pani znalazła się bez grosza i musi sprzedawać swoje klejnoty... Może to pamiątkowa broszka?... —

— Tak, po mamie...

— Szkoda sprzedawać, chociaż, jeżeli trzeba koniecznie... Już i ja pozbywałam się moich pamiątek... Gdyby pani mogła zadowolić się mniejszą kwotą, to możnaby tylko zastawić...

— Zastawić? Owszem, dobrze. Dziękuję pani za radę. Mnie to jakoś nie przyszło do głowy. Ale gdzie zastawić, u kogo?... —

— Hm! Jest tu jeden taki filantrop... Nazywa się Aron Gelblisz... Ma sklepik, a przytem trudni się najrozmaitszymi przemysłami... Ojóż on pozycza na zastawę.

— Aron Gelblisz! — powtórzyła Józia, widocznie notując sobie w pamięci nazwisko.

— Jeżeliby to pani było przykro bardzo lub trudno, to mogę panią zastąpić... Ja już znam drogę do tego dobroczyńcy potrzebującej ludzkości...

— Dziękuję bardzo, ale nie chciałabym pani trudzić. Pójdę już sama.

— Jak pani woli. Tylko proszę się ostro trzymać i dobrze targować, bo ten pan Aron, to coś, niby łykowski Szajlok... Zna pani „Kupca weneckiego” Szekspira.

— Byłam na tem kiedyś w teatrze, ale to już dawno.

— Ale postać lichwiarza Szajloka przypomina sobie pani?

— Przypominam.

— Ojóż ów Gelblisz jest jego, jeżeli nie rodzonym bratem, to w każdym razie bliskim kuzynem. Niechże się więc pani ma na baczności przed nim, bo panią bezczelnie obędzie...

— Jeżeliby pani była tak łaskawa... — podjęła po chwili milczenia Józia i zaraz urwała.

— Ależ będę łaskawa, napewno będę! Dlaczegoż pani taka nieśmiała? No, proszę mówić!

— Jabym przyniosła pani tę broszkę, żeby ją pani oceniła... Dobrze? Bo ja się na tem nic a nic nie znam...

Łagodnie, pieszczotliwie dotknęła Larchówna ramienia swojej towarzyszki.

— Biedne, niezaradne dziecko!... I na czem się to zna!... A tu takie kłopoty spadają na tę

śliczną główkę... — mówiła tonem, jakim się przemawia do małego dziecka.

— Dziwna rzecz — pomyślała Józia — że to właśnie ona i wyłącznie ona, okazuje mi tyle życzliwości...

— I pomyśleć — ciągnęła dalej Larchówna — że trzy czwarte panien i mam łykowskich, zazdrości pani „świetnej partyi”...

Młoda mężatka wyprostowała się nagle, jak batem podcięta.

— Ja nie dla świetnej partyi poszłam za mąż! — krzyknęła prawie.

— Ależ wiem, nie potrzebuje mnie pani o tem przekonywać. U pani raczej wszystko inne, niż rachuba... A właśnie należałoby się trochę nauczyć rachować!...

— Gdyby to można było nauczyć się!...

— Konieczność, piękna pani, to najlepszy nauczyciel... Jest jedno rubaszne ludowe przysłowie, które bardzo brzydko wyraża się o prorokach, więc i ja nie chciałabym być złowieszczym prorokiem... Ale mam dużo doświadczenia życiowego i dlatego ostrzegam: konieczność może przyjsć...

— Co pani przez to chce powiedzieć?... —

— Dużoby można mówić, ale za mało się jeszcze znamy... Zajdzie pani jeszcze kiedy do mnie, to pogadamy...

Larchówna chciała jeszcze coś dodać, ale przerwało jej energiczne pukanie do drzwi, poczem, nie czekając na zaproszenie, wtargnęła z głośnieym tupotem nóg, średniego wzrostu osobka.

— Cóż to? — zawołała świeżym, dźwięcznym głosem — Seans nastrojowy pociemku urządzasz, Tereniu?... A może spis i ja cię budzę...

— Nie, nie śpię, choć przyznaję, że gdybym spała, mogłabyś mnie obudzić... — odpowiedziała ze śmiechem Larchówna — Zaraz zapalę lampę... Mam gościa, więc gwarzyło się doskonale bez światła...

Za chwilę zapłonęła na stole lampa, a przyćmione czerwoną zasłonką światło rzuciło krwawe refleksy na smagłą, żółtawą, zmęczoną twarz urzędniczki, na śliczną główkę Józii i na śmiałą, świeżą, rezolutną, z zadartym noskiem i bystreimi, szaremi oczyma twarzyczkę najmłodszej Wichurzanki.

— Panie się nie znają... Panna Lutka Wichurzanka — pani Konradowa Żarnicka...

Lutka Wichurzanka położyła na stole zeszyt i dwie książki, które ze sobą przyniosła i nie dbała trochę, jakby z pewnem lekceważeniem, podała rękę Józii.

Szare, niezwykle śmiałe, sprytem tryskające oczy obrzuciły młodą kobietę spojrzeniem szybkim i ciekawym, w którym mało zdawało się tajić sympatii.

Józia zrobiło się jakoś nieswojo i zaczęła się zaraz żegnać.

— Już późno, muszę iść...

— A zajdzie pani tu jeszcze do mnie?... — pytała Larchówna, pomagając gościowi wpiąć szpilkę do kapelusza.

— O! Bardzo chętnie, jeżeli tylko będę mogła. Dziękuję pani za zaproszenie... i za wszystko... — powiedziała ciszej, tak, że Lutka nie dosłyszała ostatnich słów.

— E! Z dziękowaniem tam!... Odprowadzę panią do bramy, boby pani jeszcze karku nadkręciła po tych archaicznych schodach... Zwłaszcza, że od pewnego czasu gospodarz oszczędza nafty i urządza nam dla rozmaitości tak zwane egipskie ciemności!...

Już w bramie. Ściskając rękę Józii na pożegnanie, Larchówna rzekła, jakby nagle sobie przypominając:

— Aha! Wie pani, co mi przyszło do głowy? Jeżeli finanse pani są w tak opłakanym stanie, to czemuż nie postara się pani o zasiłek za męża?... —

— O zasiłek?... Jabym się mogła starać o zasiłek?... —

— Oczywiście i miałyby niewiele wprawdzie, ale zawsze parę groszy — niezależnie od milej, a sympatycznej świekry!...

— Ale jakże to zrobić?... Gdzie się zwrócić?... —

— O wzorze niepraktyczności!... Niechże pani do mnie w tych dniach zajrzy, to ja to pani ułatwię!...